



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



ZŁUDZENIE OPTYCZNE.

Jegomość, stojący w kapeluszu z papierosem w ustach, zapytuje drugiego, czy potrafiłby od oka oznaczyć na ścianie wysokość jego kapelusza. Tamten odpowiada z uśmiechem, że to rzecz bardzo łatwa, oznaczy z pewnością dokładnie, a je-

śli się pomyli to chyba najwyżej o jakich parę milimetrów. Przykłęka tedy, jak widzicie, na podłogę, no i... zaznacza na ścianie wysokość, przenoszącą rozmiary kapelusza bardzo znacznie, wysokość podwójną prawie. Sprawdzają to następnie i ów jegomość w kapeluszu śmieje się z towarzysza i pewności jego oka, a jeżeli się założyli, wygrywa zakład.

Dlaczegoż to? zapytacie zapewne. Jest to zwykłe złudzenie wzroku. Przedmioty widziane wprost, w kierunku poziomym, wydają się nam większe od tych, które widzimy niżej. I tak: gdy staniemy na szczycie wysokiej wieży, osoby i przedmioty, widziane w dole, u stóp tej wieży, wydadzą się nam znacznie mniejsze od tych, które obaczymy w tejże samej odległości, ale w zwyczajnych warunkach, znajdując się na równinie. Wzrok nasz nie zawsze wierne wrażenia nam podaje, gdyż różnym złudzeniom ulega.

W ZŁOTEJ KLATCE

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia.

(Dalszy ciąg).

Orszak ten wkroczył poważnie na arenę, lwy mruczały głucho, uderzone nagle jasnością światła; niektórym jeżyły się grzywy i o piasek biły niecierpliwie ogonami. Między widzami powstał szmer jakby niepokoju. Rzeczywiście, można było doznać wzruszenia na widok sześciu tych najniebezpieczniejszych mieszkańców pustyni, puszczonej wolno niemal wśród tłumu, bo cóż znaczyło, że przytrzymały ich takie dziecko?

A ten chłopczyk, może ośmioletni, drobny, szczupły, z niewinnym wyrazem wielkich ciemnych ocząt i bladym uśmiechem na ustach, miał w sobie dziwny czar jakiś, który chwycił za serce. Jasne blond włosy spadały mu w puklach do ramion; miał na sobie obcisłe ubranie białe ze złotem, które odkrywało mu całe ręce i nogi powyżej kolan. Wyszedł na środek, złożył dziecienny wdzięczny ukłon i zbliżywszy się do białego w ziemię żelaznego pala złożył nań trzymane w rękę, kółka od łańcuchów. Publiczność uspokojona tem widocznie, zaczęła sytać oklaski i z niektórych stron usłyszałem głosy: Harry! Harry! Chłopczyzna kłaniał się, słał ręką całusy, a skoro wrzawa ustała zwrócił się ku lwom, które rozłożywszy się na piasku okazywały większą ochotę do drzemki niż do popisów. Trzeba mu było widocznie rozbudzić ich z tego stanu, bo podchodząc cicho do każdego począł ich łechtać spierutą po nosie i uszach. Zwierzęta zrazu strzygły uszami, wstrząsały skórą, potem, zaczęły mruczeć z wzrastającym zniecierpliwieniem aż wreszcie podniosły się z ziemi i wyciągnawszy ociężałe członki, poczęły biegając zakreślać koło, tak wielkie na jakie im pozwalała długość łańcuchów. Były podrażnione, bo chrapały dziko i zatrzymując się czasem wydawały ryk, który wstrząsał całym gmachem.

Ale Harry nie ustępował jeszcze. Wciąż biegł za niemi i zręcznie to podcinał spierutą, to szarpał obrożami lub ciągnął za uszy; widocznie nie dość mu było na tem. Lecz wkrótce dopiął swego, lwy zostały doprowadzone do gniewu... Trzeba było ich widzieć wtedy własnymi oczami by mieć pojęcie całej grozy. Sześć rozwścieczonych bestyi, ryczało rwąc się z łańcuchów i czaiło kocim ruchem do skoku ku temu, który doprowadziwszy ich do tego stanu stał teraz spokojnie, a od naprzężonych kajdan dzieliło go zaledwie parę kroków. Stał, z założonemi po napoleońsku rękami i bacznie śledził każdy ruch zwierząt. Widać było jakąś dumę czy wyższość w tej postawie, to też można sobie wyobrazić wrażenie, skoro nagle nachylił się gotując do skoku, zrobił krok naprzód i jednym susem znalazł się w samym środku... Publiczność wydała okrzyk przerażenia.

Z sześciu paszczy wyszedł również ryk jakby radosny i bestye rzuciwszy się w skokach ku środkowi, wzniosły ciężkie cielska ponad główką dziecka. Kilkanaście łap uzbrojonych w ostre pazury gotowało się do pochwycenia ofiary, kiedy stała się rzecz dziwna. Ryk ucichł nagle i jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, lwy, w pokornej warującej postawie znalazły się dokoła stojącego w środku chłopięcia.

A on z podniesionemi w górę nagiemi rączkami, z oczami błyszczącemi jak gwiazdy i biało ubrany wyglądał na anioła so skiniem uśmiecha rozwścieczone dzikie zwierzęta... W sali rozległ się szmer uwielbienia połączony z radością. Oklaski zagłuszyły na chwilę grającą orkiestrę, Harry! Harry! krzyczano zewsząd hurraa! bravo! hoch kleiner Harry! wolali zachwyceni niemiecy.

Dziękował, rozdając rękami ukłony i pocałunki, uśmiechał się dumnie i niedługo ujawniwszy znów sześć łańcuchów spokojnych już zwierząt, znikł za zasłoną. Wywoływano go jeszcze, jakby nie mogąc się dość napatrzeć odważnemu dziecku, i skoro raz jeszcze wyszedł by się ukłonić dziękując za okazywane tak żywo wrażenie, przystąpił do niego sam dyrektor cyrku i szepnął mu coś do ucha.

Chłopcu, zniknęły naraz z twarzy ciemne rumieńce, zawałał się jakby i kiedy ucichło w sali.

— Y thank you! — zawołał dzieciennym swym głosem drżącym jakby od wzruszenia, poczem wybiegł spiesźnie.

— Aa, ten odważny dzieciak, jest zatem anglikiem! — usłyszałem za sobą rozmowę dwóch Niemców, skoro na arenie zrobiło się już pusto. — No tak to zaraz znać. Ani Francuz, ani Włoch, ani Polak, ani nawet Niemiec nie byłby takim odważnym. Tylko ci wyspiarze angielscy mogą mieć tak dzielnych synów... Nie wiem dlaczego ale zrobiło mi się tak dziwnie przykro, usłyszawszy te słowa. Uczułem coś niby żal do tego chłopca za to że był Anglikiem. Zaraz potem skończyło się przedstawienie. Wyszedłem z cyrku zadowolony ze spędzonego wieczoru, tak dalece nawet, iż nazajutrz o tej sa-

miej porze z kilkoma kolegami znów znalazłem się w tej sali. Mimowolnie, z pewną niecierpliwością nawet wyglądałem pojawienia się tego „nieustraszonego” jak go zwały dzienniki, i doznałem przyjemnego wrażenia gdy z poza odchyłonej portyery wypadło nagle pięć swawolnych, nieosiodlanych, karych runaków, a na środkowym, trzymając lejce od uzdeczek wszystkich pięciu stojący Harry. Ubiór węgierskiego czikosa podnosił jeszcze jego wdzięczną urodę, kłaniał się małą czapeczką i pokrzykując na konie hep! hep! nagiął je do coraz szybszego galopowania.

Wierzchowce nie potrzebowały wielkiej podniety, same rwąc się do biegu, niezadługo więc rąca piątka rozrzucając piasek kopytami, zakreślała koło tak szybkie iż trudno było rozróżnić wyraźnie, postać stojącego nań chłopca. Pochylił się tylko cokolwiek i dla dodania odwagi sobie czy też koniom wydawał niezrozumiałe okrzyki. Naraz, wyprostował się, szarpnął lejcam, krzyknął głośniejszym, i w jednej chwili rozpędzone ogiery, zaryły w piasku tylnemi kopytami i przysiadły na zadzie zatrzymując się w miejscu.

Biała piana toczyła im się z pysków, całe pokryły się potem, on jeden tylko nie okazywał zmęczenia i usiadłszy na jednym, obejżdżając stępem arenę obojętnie poprawiał na sobie ubranie i dumnym ruchem głowy odrzucał z czoła rozsypane w pędzie bujne włosy. Odpoczynek trwał krótko. Ze strony widzów nie przebrzmiały jeszcze oklaski, kiedy Harry znów w stojącej postawie przebiegał koło coraz szybciej. Można było sądzić że nastąpi powtórzenie poprzedniego dowodu zręczności i siły ale stało się inaczej. Po pewnym czasie kiedy konie galopowały w całym rozpędzie, puścił lejce związawszy je poprzednio w jeden węzeł i przebiegłszy parę torów z założonemi na piersi rękami, lekko zeskoczył na środek areny. Następnie skłoniwszy się za brawo czapeczką, zatarł spocone dłonie i gdy niezwalniająca piątka nadbiegała w całym szale, poskoczył rzucając się wprost pod jej kopyta. Widzowie zamowiali oddech, lecz po chwili tworgi zabrzmiął wnet okrzyk zdumienia. Harry, rzuciwszy się pod konie uchwycił zręcznie razem związany węzeł z lejce, został zrazu szarpnięty i podniesiony w górę, przez ogiery, co nagle zaskoczono stanęły dęba, parę kroków dał im się unieść poczem ściągnął tak silnie że stanęły jak wryte w ziemię. Podobne ćwiczenie powtórzył parę razy po chwilowym odpoczynku, a zawsze z równą zręcznością. Doprowadziło to do takiego zachwytu widzów, że benki w uszach pękały od wrzawy oklasków, a kiedy mały bohater miał już zejść z areny poczęto z łóż rzucać mu bukiety. Na ten widok poczerwieniał cały, puścił trzymane w ręku konie, które też zaraz wybiegły za kulisy, i z dzieciennym pośpiechem zaczął je zbierać uśmiechając się smętnie skoro na pochylonego przy zbieraniu, padały jeszcze kwiaty i trafiały go w twarz lub plecy.

Wyszedł z rękami pełnemi i dumną miną jak gdyby był przekonany że tak dzisiaj jak zwykle był bohaterem przedstawienia. I tak też było w istocie. Wzbudził tak sympatyczne uczucie, że wątpię czy w całym cyrku znalazł by się ktoś nie ujęty odwagą i samą postawą chłopczyka. My, studenci podziwialiśmy go nawet, nikomu jednak prócz tego zachwycania się z areny nie przyszło na myśl poznać bliżej historię jego życia. Mówię to z prawdziwym żalem, i mnie przecież nie byłoby się to udało gdyby nie zrzadzenie prostego przypadku. Zdawało się pewnie wszystkim że temu chłopcu zasypywanemu po każdym występie kwiatami, braknąć mogło jeżeli czego, to gwiazdki z nieba. Codziennie stroili go inaczej, by tylko wieczorem kilku bohaterskimi czynami, które nie zdawały się zresztą nic go kosztować, ściągnął na siebie grzmot oklasków i krzyki podziwu roznamiętnionego tłumu.

Czy jednak dawało mu to szczęście, osądzić niebawem sami... Pewnego wieczoru, (gdyż stale niemal zaglądałem do cyrku), przedstawienie było już w połowie, skoro opuściwszy swoje miejsce na galerii, które tanim sposobem udało mi się zakupić na cały czas występów, zbiegłem na dół i wsunąłem się przez odchyłone drzwi stajni, chcąc tam bliżej przyjrzyć się przepysznemu tarantowi, mającemu dziś właśnie służyć za pole popisu Harremu. W stajni było prawie pusto;

na drugim końcu długiego budynku, przy tylko co sprowadzonych z areny koniach, kręciło się zaledwie kilku posługaczy, usiłujących je rozebrać. Nie mając się nawet kogo zapytać puściłem się instyktownie w jedną stronę i o kilka kroków ujrzałem mego taranta. Szybko zbliżyłem się do niego i podziwiając jakby dłutem rzeźbione kształty stepowca, nie mogłem się powstrzymać od głośnego zachwyty.

— Pyszny koń — zawołałem do siebie półgłosem, jak zwykli czynić ludzie czujący się samymi i niemając przeto z kim podzielić przyjemnego wrażenia — budowa jak u araba, szyja, nogi, zachwycające!...

Stałem jeszcze w zachwycie, skoro nagle poza sobą usłyszałem szelest jakiś. Obejrzałem się i w półcieniu kąta stajni obok stosu siodła, i przygotowanych na noc wiązek siana ujrzałem coś małego wysuwającego się na światło wiszącej u góry latarni. Zwolna, to coś, przybierało coraz wyraźniejsze kształty i wkrótce poznałem chłopczyka, który z przestronnym pośpiechem przystąpił do mnie. Światło latarni padło nań jedną smugą, i ujrzałem przed sobą bohatera chwili. Mały Harry na cielistem trykotowym ubranku, pełnem ozdób i świecideł miał zarzucony zniszczony bardzo sukienki płaszczyk, który naciągał jak mógł na ramiona drżąc cały, bo choć w stajni było dość ciepło dla koni, nie mogło ochronić od zimna nagiego prawie dziecka.

Popielate pukle w nieładzie spadały mu na czoło i plecy, twarzyczkę powlekała przezroczyta błądź i obwódki w około oczu świadczyły iż musiał płakać. Stanąwszy przy mnie podniósł szybko głowę, inteligentnym rzutem oczu w około siebie przekonał się że jesteśmy sami, poczem tłumiąc głos z jakąś gorączkową radością i pośpiechem zawołał.

— O Boże! Pan jesteś Polakiem — nieprawdaż?...

Zostałem zdumiony. — Zkąd ten mały Anglik może umieć po polsku? stanęło mi pierwsze w myśli pytanie.

— A ty, wszak jesteś Harrym? — zapytałem w zamian odpowiedzi.

— Ja, ach tak panie! — tak mnie przewano w istocie, ale ja nie byłem nigdy Anglikiem... Co za szczęście. Więc tak? pan jesteś Polakiem?... O, bo i ja nim jestem!...

Wyprostował dumnie swą drobną postać, płaszczyk zesuwał mu się z ramion, wystawiając na zimno gołe rączyny, a on z pałającymi oczyma i drżącym tłumionym głosem ciągnął:

— I ja jestem Polakiem. Coż robić jednak? Musiałem się tego zaprzeć i muszę milczyć by się nieczem nie zdradzić i nie zasłużyć na baty... O bo pan nie wie! Chociaż niczego w świecie się nie lękam i zdaje mi się, że nie uląkł bym się śmierci nawet wcale, ale bicie tak trudno znosić cierpliwie... Pan nie wie jak to boli... jak to okropnie boli!...

Zakrył sobie twarz rękami i zaczął łkać.

Ja stałem zdziwiony. Z pomiędzy tych bezładnych, gorączkowych słów dziecka zaczęła mi przeświecać smutna, ciemna rzeczywistość. Sercem odgadywałem jego doleg, przyznając że zaciekawiała mnie potrochu, i wreszcie uczulem ochotę przyjąć mu z pomocą o ile to będzie możliwe, a ku czemu nakłaniały mnie dwie rzeczy: obowiązki rodaka i dziwna jakaś sympatya, którą uczulem od pierwszego ujrzania go w roli pogromcy strasznych zwierząt. W stajni zrobiło się tymczasem całkiem pusto, ludzie, jedni wyszli na arenę popatrzeć na przedstawienie, inni zmęczeni, pokładli się między końmi na sianie, byliśmy prawie sami. Małec uspokoił się zwolna i jakby przypomniał sobie o mojej obecności:

— Przepraszam — zaczął niepewnym jeszcze od płaczu głosem — że pana zaczepiłem, ale ja tak dawno czekam na to żebym mógł powiedzieć jakiemu Polakowi, tak aby nikt z tutejszych nie słyszał że nie jestem Anglikiem!...

— Pan jest studentem — ciągnął spojrzawszy na moje czapkę arkonii, to niech pan powie o tem wszystkim swoim kolegom. Ja niechcę żeby mnie mieli za Anglika, niechcę... niechcę — powtarzał z uporem dziecka.

— A dla czegoż tak ci o to chodzi? — zapytałem.

— Dlaczego? — powtórzył patrząc mi poważnie w oczy

— dlaczego? pan wie o tem... oczy mu błysnęły, uśmiechnął się...

Po tych słowach poznałem jego charakter. Dzieci chowane w niedoli dojrzewają i hartują się przedwcześnie.

— Ale ja zatrzymuje pana — rzekł cofając się w głąb ciemnego kąta — i przezemnie nie będzie pan widział przedstawienia... Tam teraz słonie pokazują sztuki. Niech pan nie zapomni tylko o co prosiłem!... — szepnął błagalnie myśląc że już odchodzę. Ja przecież nie byłem ciekawy tych sztuk, powiedziałem mu to otwarcie, biorąc go przyjaźnie za rękę, jak również, skoro za chwilę usiedliśmy na sianie, to, iż radbym mu przyjść z pomocą w czem tylko będzie można i potrzeba. Zdawał się z tego tak szczęśliwy, że nie chciał z początku wierzyć moim słowom. Czas jakiś badawczo patrzył mi w oczy z tym wyrazem, z jakim patrzą dzieci chcąc odgadnąć po nich człowieka, i nakoniec uwierzył widocznie, bo trzymając moją rękę w swych zziębłych dłoniach, powtarzał z radością: — O jaki pan dobry! jaki dobry! żeby tylko „on” nie zastał nas tu razem, bobym już pana nie zobaczył więcej nigdy... „On” znaczyło dyrektor, niemiec, bez odrobiny serca, który za najmniejszą rzecz bił go szpicrutą bez miłosierdzia. Właśnie przed chwilą, nim tu przyszedł Harry dostał dziesięć bolesnych batów za to, iż zeskakując z konia noga mu się powinęła i zamiast stanąć na równych nogach ukląkł na kolanie, czego nawet publiczność nie miała czasu zauważyć. Zaraz potem przyszedł tu schronić się w ciemnym kącie, gdzie mógł się wypłakać do woli. Czuł jeszcze uderzenia na plecach i nogach, które przez cienkie trykoty znaczyły mu sine pręgi, ale mówił że go już teraz, od kiedy mnie zobaczył, przestało całkiem boleć.

Powoli zaczął mi opowiadać o życiu jakie tu prowadzą, a opowiadał bez ładu, nie umiając sobie zdać sprawy z wielu rzeczy, drżąc ze wzruszenia na samo wspomnienie tego wszystkiego co widocznie było mu nienawistne; a gdy się zapytał co robi z temi kwiatami, któremi tak często go zasypują, uśmiechnął się smutnie.

— Ach te kwiaty! ja je tak lubię! to największa nagroda moja, ale pan myśli że to dla mnie? Należą do mnie dopóki nie zejść z areny, potem za kulisami wydzierają mi je wszyscy i wracam z próżnymi rękami.

— A ty, czy ich tu „wszystkich” tak nie lubisz, żebyś im sam nie dał? zapytałem.

— O tak! Ja ich tu wszystkich nie nawidzę! — odparł z przyciskiem.

Rozmawialiśmy tak długo — aż do stajni wbiegły z areny pomoczone konie, na których amazonki zamykały swym występem dzisiejsze przedstawienie. Wówczas Harry zerwał się.

— Muszę iść — szepnął trwożliwie — mogliby zauważyć moją nieobecność, a wtedy... — niedokończył, bojąc się wypowiedzieć w złą godzinę.

— A więc do widzenia — odparłem, podając mu rękę — Będziemy zatem przyjaciółmi. Coż, dobrze?...

— Jaki pan dobry! Kiedyż się znów zobaczymy? — pytał przytrzymując mnie jeszcze — bo przyjaciele powinni się często widywać, prawda?

— Przyjdę tu jutro — ale pod warunkiem...

Zwrócił na mnie ciekawe spojrzenie ciemnych oczu.

— Ze — mi opowiesz swoją historję — dokończyłem.

— Moją historję... — zamyslił się smutnie. — A zresztą, komu innemu bym nie powiedział, ale panu — którego już kochocham jak przyjaciela, opowiem, dobrze...

— A więc jutro, może na tem samem miejscu?...

— Tak, najpierw ja będę z dwoma tygrysami, ach, jak to męczy!.. — dodał, rozbierając w myśli rozkład jutrzejszego przedstawienia, — potem, po pierwszym antrakcie, aż do drugiego, będzie dyrektor pokazywał swoje tresowane z wolnej ręki konie. Tak, to wtedy niech pan przyjdzie, między pierwszym a drugim antraktem będę tu czekał będziemy bezpieczni. A teraz do widzenia! — Kiwnął mi główką z uśmiechem. — Do widzenia Harry!

— O nie nazywaj mnie pan tak przynajmniej! — zawołał porywczo, powstrzymując się z odejściem — nazywaj mnie

tak, jak kiedyś wołano na mnie, gdy był jeszcze w domu: Jerzym.

— A więc, do widzenia Jerzy! — Uśmiechnął się słodko, z odległości paru kroków przesłał mi pocałunek końcem paluszków, jak zwykł był dawać z areny, nasunął na ramiona płaszczyk i zniknął wśród koni.

Zaraz po nim i ja wyszedłem.

Nazajutrz, pilno mi było, i zaledwie rozpoczęto pierwszy antrakt pośpieszyłem za kulisy. Dyrektor zajęty przygotowaniem swoich koni do występu nie zauważył mnie wcale; zresztą trudno byłoby nawet zauważyć kogo na taką liczbę osób, codziennie zwiedzających stajnie. On, był to barczyty wysoki niemiec z piętnem okrucieństwa i zastygłej surowości na starannie wygolonej twarzy, do którego czarny frak,

rozszerzyli dawne arabskie szatnie i pysznili się z posiadania twierdzy, której równiej nie było na świecie, część bowiem zwykłych murów zastępowały tu galerye wykute w skale. Wszystkie jednakże dzieła ludzkie nie mogą być wiecznotrwałe; warownia Gibraltarska opanowana przez Anglików w 1704 r. utraciła swą sławę niezdobytą. Tem więcej też wobec postępu dzisiejszej wojennej sztuki, zdobycie jej nie przedstawiałoby niepodobnych do pokonania trudności. Ze szczytu nagięty skąły, na której zbudowana rozciąga się niezrównanej piękności widok na łańcuchy pobliskich gór, błękitne wody morza, a wreszcie starożytne miasto Tariffa leżące nad zatoką. Wspaniały też i zarazem pełen grozy jest wygląd Gibraltaru od strony morza, ponad którem wznosi się niby amfiteatr wykuty w skale, jak to przedstawia rycina nasza.

JESIEŃ.

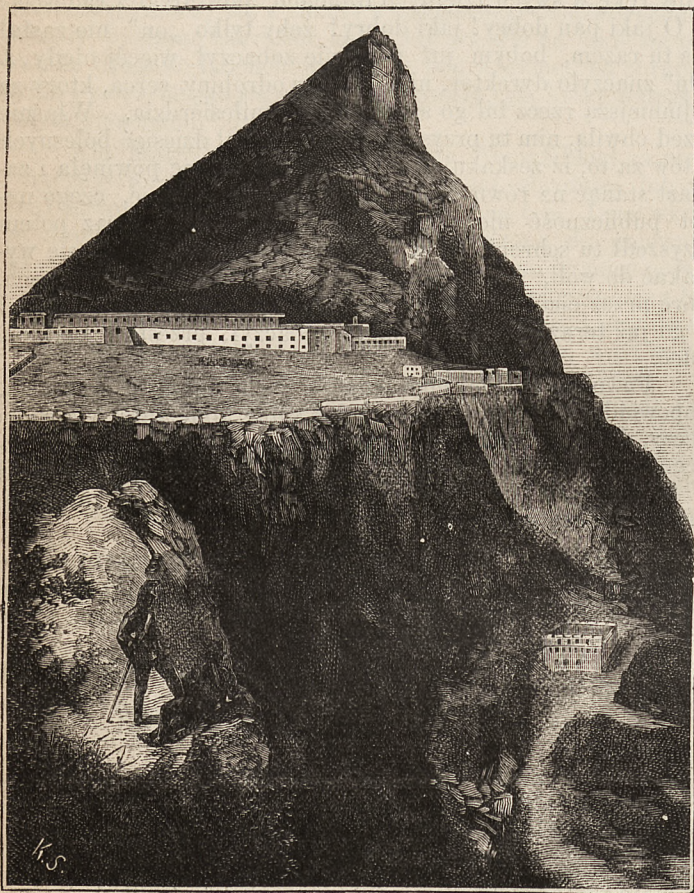
Jesień piękną czy wy znacie
 Jak wygląda, kiedy stanie
 W swym wspaniałym majestacie,
 W cudne zdobna malowanie?
 Gdy szumiące stroi bory
 W purpurowe, złote płaszcze,
 I ściemniałe już ugory
 Ciepłym wiatrem lekko głaszcze,
 Nim rozpuści je wichurą,
 Co po polu gna ze świstem,
 Jęczy, wyje, łka ponuro
 I w powietrzu huczy mglistem?
 A czy znacie sady owe,
 Kiedy stoi rząd jabłoni?
 Pachną gruszki bursztynowe,
 Sliwa modry owoc kłoni,
 Drzewo z darem się napiera!...
 Jesień piękna jak matrona,
 Czerstwa, cicha, hojna, szczerą,
 I pogodą rozjaśniona.

T. P.

POWÓDŹ.

Węgry i górna Austria, Szląsk, Czechy i Saksonia straszną w ostatnim czasie zostały dotknięte klęską: Ren, Elba, i Dunaj wystąpiły ze swych łożysk, zalewając bogate miasta, pustosząc prowincye z wyborniej uprawy ziemi słynące, porywając ludzi, ich dobytek, owoce pól i sadów.

Linz stolica górnej Austrii w połowie zalana; Opawa (Troppa) stolica austriackiego Szląska z okolicami, zamieniona w jedno, nieprzejrane jezioro, niektóre dzielnice Wiednia, przystań parowców, olbrzymie nadrzeczne składy i magazyny, stoją pod spiętrzonemi falami Dunaju. Po ulicach Drezna zamienionych w głębokie kanały, komunikacja była możliwa tylko na łodziach. W Schandau, miejscowości leczniczej, w najbardziej malowniczym punkcie Saskiej Szwajcaryi, rozszałała Elba ze szczytem zniszczyła prześliczne wille, hotele, kurhaus, jak również zatopiła wspaniały królewski zamek w Pillnitz, w Saksonii. Lecz najbardziej od powodzi ucierpiał prowincye „korony św. Wacława”, Czechy i stolica ich Praga. Praga, której założenie w połowie VIII wieku przypisują legendowej księżniczce Libuszy składa się właściwie z trzech miast, rozdzielonych rzeką Woltawą, to jest Hradczyna, Starego i Nowego Miasta. Stare Miasto posiada ratusz, piękny zabytek średniowiecznego budownictwa i rynek, gdzie niegdyś odbywały się turnieje. Ratuszową wieżę ozdabia olbrzymi zegar. W pewnych godzinach szluczny mechanizm otwiera ponad jego tarczą dwa okienka, w których dwukrotnie ukazują się figury o ruchach poważnych i pełnych dostojnej godności,



Gibraltar.

w jaki był przybrany, nie pasował bynajmniej. Trzeba było tylko zamiast tej eleganckiej szpicruty dać mu w rękę topór, a byłby wybornym typem na kata. Przechodząc doszło mię głośno przez niego wymówione imię Harrego. Obejrzałem się ostrożnie i ujrzałem chłopca, który w jednej chwili jakby wyrosłszy z pod ziemi stanął przed nim w postawie żołnierza, oczekującego rozkazu wyższej władzy.

(d. c. n.)

GIBRALTAR.

Warownia Gibraltarska na pograniczu hiszpańskiej prowincyi Andaluzyi i długo uważana za niezdobytą, zbudowaną została przez Arabów w 711 r. na skalnym przylądku po nad cieśniną łączącą morze Śródziemne z oceanem. Królowie hiszpańscy objawszy następnie Gibraltar pod swe panowanie

przedstawiające Chrystusa i apostołów. Jednocześnie zegar wydzwania godzinę i staroświecki kurant; następnie słychać trzykrotne pianie koguta, apostołowie nikną, i okienka zamykają się z trzaskiem, widowisko skończone; liczne zwykle gromady widzów opuszczają rynek, podziwiając wyrób średniowiecznego sztukmistrza.

W dzielnicy Josephstadtskiej na Starem Mieście mieści się synagoga przed tysiącem lat zbudowana i równie stary ementarz zniesiony przez cesarza Józefa II-go i dziś już tylko przez turystów zwiedzany, jako jedna z osobliwości stolicy Czech. W Nowem Mieście zwraca głównie uwagę plac św. Wacława, jeden z największych w Europie, ulubione miejsce przechadek Prażan; plac Karola ze słynnym z szacownych zbiorów muzeum narodowym. Na lewym brzegu Węławy, nizinę zajęła dzielnica Mała Strona; wzgórze, to Hradczyn, czyli miasto królewskie pełne starych, ogromem i wspaniałością imponu-

wania Władysława Jagiellończyka ukończono. Sławni budowniczy: Maciej Arras, następnie Piotr Arler i syn jego Jan, kierowali robotami, które olbrzymie pochłonęły sumy. Ztąd niewątpliwie powstało ludowe podanie, iż kamieniarze dla trwałości winem i jajami zaprawiali wapno do spajania kolosalnych płyt ciosowego kamienia, użytych na potężne arkady i łuki mostu. 497 metrów długi, a 10 metrów szeroki most Karolowy, na dwóch przeciwnych swoich krańcach, posiadał wysmukłe, gotyckie wieżyczki z posągami Karola IV i syna jego Wacława IV i z herbami krajów niegdyś należących do Czech. Obie poręcze mostu zdobiło 30 posągów. Posąg św. Jana Nepomucena, patrona Czech odlany z brązu w Norymberdze przez Rauchmüllera w r. 1683. W pobliżu tej figury, tablica ze złożonym krzyżem oznacza miejsce, z którego król Wacław, do rzeki, św. Jana strącić rozkazał. Dotknięcie tego krzyża, ma leczyć choroby oczów.



Na jesieni.

jących gmachów i nowych, wytwornych dzieł współczesnego budownictwa. Mieszcza tu komendy wojskowe, sejm, urzędy, rezydencje magnackich rodzin; pałac cesarski i arcybiskupi, pałac Sternberga z galerią obrazów, dom Kanoniczek, zgromadzenia pań ze szlacheckich rodzin, fundowany przez cesarzową Maryę Teresę, należą do największych i najpiękniejszych budowli na Hradczynie. Lecz najwspanialszą tej dzielnicy ozdobą jest katedra św. Wita, z bajecznie kosztownym, ogromnym, srebrnym grobowcem św. Jana Nepomucena, z kaplicą św. Wacława, o mozaikowych ścianach z drogieńskimi kamieniami i grobem Karola IV, założyciela tej świątyni, cesarza niemieckiego i króla czeskiego.

Monarsze temu, oprócz katedry, którą według planów z XIV wieku wykończają obecnie, Praga zawdzięczała budzącą zachwyt najwybredniejszych znawców, najpiękniejszą swoją ozdobę, most na Węławie, *Karolowy* most zwany, łączący Stare i Nowe miasto z Nową Stroną i Hradczynem. Dziewiątego lipca roku 1357 Karol IV-go osobiście położył kamień węgielny do budowy, którą w ciągu czternastego wieku, za pano-

Tym, z czytelników naszych, którzy się uczą historii wiadomo, ilu ważnych w dziejach Czech wypadków, Karolowy most był widownią, od XIV wieku, do r. 1848. I ten pyszny średniowieczny monument, ta chluba i duma Prażan, straszną teraz uległa katastrofie!...

3-go Września, o świcie wystrzały armatnie budząc ze snu mieszkańców Pragi oznajmiły im o wezbraniu Węławy, przez cały dzień i noc następną z zachmurzonego nieba lały się potoki deszczu, wiatr dął, Węława przybierała z nieopisaną szybkością, gwałtowny prąd rwał brzegi szumiąc i hucząc przeraźliwie. 4-go września rano o godzinie wpół do szóstej, runął olbrzym, który przez pięćset lat nieraz jeden zwycięzko, nawały fal szalejącej rzeki odpierał... Wieść o katastrofie z błyskawiczną szybkością obiegła miasto... wnet nad Węławą zebrały się tłumy, w obec utraty cennej, narodowej pamiątki zapominając o stratach i nieszczęściach osobistych. Runęło siedm arkad mostu i kolosalny posąg św. Ignacego Lojoli z otaczającymi go grupami Turków, Indian i Murzynów, tylko figura św. Jana Nepomucena ocalała. Ta okoliczność

wlala w serca zrozpaczonych pociechę i nadzieję, że Bóg kłeski dalsze odwróci, że most dźwignąć z gruzów i straty powetować dozwoli...

Czesi zawsze z miłością poglądają na posąg patrona swojej ojczyzny i dzień 16 maja, dzień św. Jana Nepomucena jest uroczystym świętem kościelnym i narodowym.

Przed kilku laty w tym czasie byłam w Pradze. Już w wigilię święta do starego grodu Libuszy ciągnęły niezliczone zastępy pątników zdaleka i zbliska i z ciemnych borów Szląska, z gór Bawaryi, z chatynek, niby gniazda jaskółcze przylepionych do skał Szwajcaryi Saskiej, z szałasów moldawskich węglarzy, z czeskich zagród ukrytych wśród wiśniowych i orzechowych sadów.

Wieczór zapadał. Gwiazdy jedna po drugiej ukazywały się na ciemnym błękitcie, rosa wieczorna pokrywała gąszcze Lorenzburgu, winnic i parków otaczających miasto pasem świeżej zieleni. Płomienie latarni gazowych, jak miryady wirujących iskier lub jaskrawych światełek odbijały się w spokojnych, niby zwierciadlana tafla gładkich nurtach Wełtawy, pod arkadami mostu płynącej. Na Karolowym moście, przed posągiem św. Jana gorzały setki świateł, piętrzyły się tysiące wieńców z barwnych kwiatów, wiązanek ziół wonnych, a tłumy pielgrzymów kłęwały z głowami schyłonymi niby kłosa, które łagodny powiew letniego wietrzyka, w jedną pochyla stronę. W przeddzień tej uroczystości wszelki ruch kołowy na Karolowym moście i w pobliżu tegoż bywa wzbroniony; więc wśród ciszy nie zmaconej żadnym turkotem, gwarem i zwykłą wrzawą miast wielkich, wśród ciszy pogodnej, ciepłej, gwiazdzistej nocy majowej, pielgrzymi śpiewali hymny pobożne i litanie. Skończywszy śpiewy i modlitwy, jedne tłumy ustępowały coraz nowym, coraz innym. Odchodzący, w ulicach witali spotykanych znajomych, a nawet obcych zupełnie pozdrawiali serdecznym słowem, bo wspólna modlitwa zbratała tutaj ludzi różnego pochodzenia i stanu.

— Wy, zdaleka, pani? — poznając we mnie obcą, zagadnęła mnie hoża przystojna Czeszka, trzymająca za rękę niedużą dziewczynkę z oczkami koloru habru, z buzią rumianą i czerwoną chustką na jasnych warkoczyczkach.

Odrzekłam że pochodzę z dalekiej lecz pobratymczej Czechom krainy i unyslnie na szesnasty maja przybyłam do Złotej Pragi. *)

— Toście pani dobrze zrobili! — pochwaliła mnie dziewczynka. — Pani wiedzą jaką śmierć poniósł nasz święty Jan?

— Nie wiem — odpowiedziałam unyslnie.

— A to źle! to brzydko! — rezolutnie i z oburzeniem ganiła mnie mała. — To ja wam zaraz opowiem jak było. Nasz święty Jan z Nepomuku był kanonikiem przy katedralnym kościele, tam na Hradczanach i był też spowiednikiem królowej Joanny. Aż raz król Wacław chciał wiedzieć, jakie grzechy ma jego żona, więc spytał o to Jana z Nepomuku. Ale przecie książdż nie może mówić nikomu co słyszał w konfesyjale przy spowiedzi. Więc Jan nie chciał królowej zdradzić, a król Wacław okrutnie się rozgniewał i kazał go wziąć do więzienia, później utopić w Wełtawie. I tak Jan z Nepomuku został męczennikiem. Ciało wydobyli z wody i pochowane jest w kościele katedralnym, a nad Wełtawą, nad miejscem gdzie święty utonął, zaraz na niebie weszło pięć gwiazd. I te gwiazdy nad miejscem onem co noc świecą już pół tysiąca lat i do końca świata już świecić będą... Rozumie panienka? No już wszystkim opowiedziałam, co mnie opowiadali mój pan tata i moja pani mama **). Nie zapomnicie pani?

— Nie zapomnę! nie zapomnę! — upewniałam, czule całując bystrą i rozgarniętą dziewczynkę. Rozmawiałyśmy potem długo i poufale; mała opowiadała mi dużo rozmaitych legend i podań; opowiadała, widocznie czując się dumną że naucza starszą od siebie i z dalekiego kraju kobietę. Oddałam dziewczynce cały zapas ciastek i owoców, jakie mieliśmy

przy sobie. Moje nowe przyjaciółki odprowadziły nas do hotelu „pod czarnym koniem”, pożegnałyśmy się bardzo serdecznie, przyrzekając sobie spotkanie nazajutrz, w umówionem miejscu. Późno już było. Z ulicy dolatywały urywki w różnych językach i dyalektach prowadzonych rozmów i rytmy pobożnych pieśni rozplywały się w powietrzu, błękit niebios ciemniał coraz bardziej; w półmroku zapadającej nocy tonęły wieże i pałace, rzeka i wyspa św. Zofii, parki i groźna warownia Wyszehradu... Stopniowo głosy i szmery wszelkie i echa cichły i milkły, a ja wciąż myślałam o rezolutnej, jasnowłosej wiejskiej dziewczynce, o dziesięcioletniej Czeszce, która tak dobrze знаła legendy o świętych patronach swojej ojczyzny.

Halina Tokarzewska.

W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

— Nie bójcie się dziateczki, to Wilko z mego rozkazu dał znak pożądany, a oto mój plan, który Mahora wiedzieć powinien: w chwili gdy targ będzie się w najlepsze odbywał, a przeto okręt jako bezpieczny w zatoce mniej będzie strzeżony, trzeba nam morzem dostać się do niego, a jednocześnie czuwać od strony lądu i zrobiwszy jakikolwiek alarm z jednej strony, porwać Wiliama z drugiej, to jest z lądu jeszcze albo już z okrętu. Bardzo być może że dopiero gdy jako już sprzedany, zostanie zaprowadzony na okręt, będzie możliwem dostać chłopca i to jeżeli upatrzymy chwilę zanim zdążą go ukryć pod pokładem...

— A jeżeli nie zdoła się tej chwili upatrzyć?

— Albo jeżeli odrazu uwiężą go pod pokładem?

— A jeżeli wysadzą okręt w powietrze, jak powiadasz mają niekiedy zwyczaj czynić handlarze niewolników?...

— Drodzy moi przyjaciele, możemy robić to tylko co od nas zależy, resztę musimy zostawić chwilowemu natchnieniu i Temu, bez którego nic się nie dzieje, bo, gdyby przyszło uwzględnić wszystkie przypuszczalne „jeżeli” to należałoby może spytać także co będzie, jeżeli trzęsienie ziemi lub burza morska nastąpi w tej chwili?... i uniesie nas wszystkich w morskie otchłanie. Tymczasem spuszczaście małą łódź na wodę, dzieci! Wiosła poowijać płótnem w całej długości, aby nie było słyhać skrzypienia i tarcia o boki statku i zbyt wyraźnego plusku...

— Baczność! kapitanie! — szepnął w tej chwili majtek Carré, ukryty wśród skał i strażujący od strony lądu. Kapitan Lory poskoczył ku niemu:

— Widziałem trzech krajowców, jeden za drugim pędzących jak wichry koło nas: czyliby dzieci z lasu biegli na skały do chaty Sihala...

— Tam do licha!... czyliby chcieli osobiście się z nim porozumieć? Panie Thorn, panie Mac-Ulm?... słyszeliście?

— Choćby i tak było, nie znajdą Sihala ale też i nie domyślą się co się z nim stało, bo niema tam żadnych śladów jego porwania, ani naszego pobytu.

— Patrzcie, patrzcie, znowu pędzą!... — istotnie pędzili, lecieli nawet z dziką prawdziwie chyżością i znikli w mgnieniu oka dążąc widocznie na skały do chat, a było tego dziesięciu. Biegli sznurem jeden za drugim.

— Co ty tam mruczysz synku Carré?

— A to coś, czego nie jestem dosyć pewny aby ci powiedzieć wyraźnie, ojcze kapitanie.

— Mniejsza o to, przyjmę z zastrzeżeniem, mów pieśczocho!

— A to najpierwszy z tamtych trzech zdawał mi się jakby do Mahory podobny...

— Pierwszy z trzech dzikich pędzących do chat?... a jeżeli to rzeczywiście Mahora? Jeżeli dzieci go ścigają? Trzeba mu iść z pomocą! — zawołali Anglicy,

*) Tak Czesi zowią swoją stolicę.

**) Tak Czesi nazywają matkę.

— Nie, to nie; dzicy nigdy nie ścigają bez wycia nie-ludzkiego i dzikich okrzyków; stanowczo nie.

— A możeś się pomylił panie Carré... po nocy wszystkie tygrysy są szare, a w dodatku Mahora, który u nas w domu ubierał się jak przyzwoity człowiek, przyjął teraz w czasie podróży dla bezpieczeństwa ubiór dzikich, zarówno jak Rahib i Wilko, więc...

— Tak właśnie, wszyscy oni ci obywatele tutejsi, mniej więcej mają ubiór tureckich świętych, i właśnie dla tego oczom własnym nie dowierzam. Patrzcie patrzcie! A to co?

— A to znów co?... — patrzący oniemieli, dech zaparł im się w piersiach na widok dziwnego orszaku, ukazującego się z powrotem po niejakić chwili od strony chat i zupełnie niezrozumiałego z początku. Najprzód ujrano tylko gorejącą głównię, która wysoko podniesiona szła żwawo, oświecając wyraźnie tego, który niósł ją ponad głową wydając dzikie okrzyki radości; trudno go było poznać teraz, tak, to był Mahora. Za nim, Wilko, Rahib i dziesięciu krajowców szli po dwóch, niosąc beczułki, i kosze pełne butelek, napełniając powietrze ucieszeniemi wykrzykami.

— Ach ach!... Mahora wiedział gdzie Sihal przecho-wuje znaczne zapasy wina i usłyszawszy twój plan kapitanie, chce spoić rozbójników i handlarzy!...

— A głównię niesie umyślnie niby dla oświecania drogi czego nie potrzebują, a w istocie abyśmy go poznali i domyślili się zamiaru.

— Hm, moi drodzy nowi przyjaciele, jeżeli tak, to przyznać trzeba że ten wasz generał Mahora, wart jest być generałem... doskonała myśl mu przyszła.

Orszak z winem przeszedł szybko w pobliżu skał, za któremi ukryci byli patrzący i znikł w ciemnościach, dążąc ku zatoce rangorskiej.

— Ale jakim sposobem Mahora i jego towarzysze wy-patrujący skrycie zbójców, zdołali wejść z nimi w stosunki?

— Łódź gotowa kapitanie!

— Dobrze; niech płynie jak najciszej i zatrzyma się jak można najbliżej Chińczyka, ukrywając się za skały, uważać trzeba baczenie ażeby za najmniejszym znakiem podpłynąć z pomocą młodemu Anglikowi. A teraz spuszczać drugą, zaopatrzyć tak samo i czekać na rozkazy dalsze.

Godzina czasu przeszła następnie w trudnem do opisa-nia niepokoju, zwiększanym tem właśnie, że nie nadchodziły żadne wiadomości i najzupełniejsza cisza panowała w okolicy. Tylko zwykły szum morza i odległe z lasu dochodzące odgłosy zwierząt i ptaków nocnych, zamęcały spokój pozorny. Na myśl co się w tej chwili dzieć może z Wiliamem, krew uderzała do głowy Anglikom i rozpaczliwy szła ich ogarniał, tak, że nareszcie potrzeba było całej powagi pana Lory, aby powstrzymać ich od pójścia na zwiady i to nie tylko młodych, ale nawet ojców i służbę.

— Kapitanie! pomyśl że nie słyszymy ztąd nic co się dzieje w rangorskiej zatoce, a tam dzieć się mogą okropności!... ta noc, ta chwila stanowi o życiu Wiliama!... a może i trzech naszych wiernych sług Indyan, jeżeli zbójcy odkrywają ich rzeczywiste zamiary!

— Panowie, pomyślcie że wystrzały słyszelibyśmy tu jednakże, a niepodobna ażeby wasi trzej słudzy tak chytrzy, jak zwykłe Indyanie, dali się podejść bez wystrzału; pamiętajcie że gdyby was odkryto, zbudziłibyście czujność i zgubili wszystko, nie wyjmując Wiliama. Wszak ja, odkąd jestem sumiennie przekonany iż podejrzany przezemnie Chińczyk to jest stary okręt nazwiskiem Sumatra, własność Chińczyka handlarza drobiu, baranów i t. p. jest handlarzem ludzi, mam nie tylko prawo, ale i obowiązek posłać mu przy wyjściu z jego zatoki kilka kul armatnich, które wystarczyłyby dlań z pewnością. Jeżeli próbuje wprzód czego innego, to jedynie tylko w interesie panów!...

— Wilko!... — rozległo się szeptem w tej chwili i rzucono się do nadbiegającego: — Gdzie jest Wiliam? Gdzie Mahora?

— Wszyscy u rangorskiej zatoki. Powiedzieliśmy Ma-

horze co panowie zamierzają, a on przypatrzawszy się zbójcom i przekonawszy że niema między nimi naszych znajomych, podszedł do nich prosto zawiadamiając że wraz z mną i Rahibem należał do rabunku okrętu „Heloisa” napadniętego przez rabusiów w tutejszych okolicach przed tygodniem i że dowiedzieliśmy we trzech sporo zrabowanego wina Sihalowi, który obiecał za nie zapłacić, ale schowawszy wino do piwnicy zbył dostawców lada czem i udaje że wraz z żoną na morze popłynął, aby się nas pozbyć, gdy tymczasem siedzi pewno gdzie skryty koło swęj chaty. Skarżyliśmy się i prosili o pomoc przeciw Sihalowi, który wraz z żoną mając palną broń i strzelając ze szczytu swoich skał, mocniejszy jest od nas. Usłyszawszy o winie zbójcy, zaraz poradzili aby zagodzić z-targ wypijając je wspólnie, na co zgodziliśmy się chętnie. Pobiegliśmy do chaty i nie zastawszy gospodarza, zabraliśmy wino, ale Mahora dobiegłszy pierwszy, podolewał w beczułki sen-wody...

— Sen-wody?... Co to? trucizna? Zkąd jęj wziął Mahora?

— Nie trucizna, tylko sen-woda, albo ja wiem jak się to w panów mowie nazywa? Od tego napoju się śpi, a robi się on nalewając wódką pewne zioła. Sihal miał go dużo i pokazywał Mahorze, mówiąc że trzeba go będzie wlać do wina lub wódki naszym ludziom, tej nocy gdy się broń im odbierze... Mahora więc dzisiaj.

— A!... aha!... — mruknął Thorn przypomniawszy pomoc obiecaną mu przez Sihala, przy sprzedaży mniemanych jego żywych towarów.

— Teraz wszyscy już i załoga okrętowa pili z beczulek dokończył Wilko — i uczują w najlepsze na wybrzeżu zatoki i targ się przy winie dobija, za chwilę zaprowadzą pana Wiliama na okręt. Na nieszczęście, na taką dużą ilość ludzi za mało było sen-wody, odurzają się, ale nie zasną twardo. Co teraz robić?

— Niech pan Wiliam w chwili gdy wejdzie na okręt da nam jakikolwiek znak abyśmy go mogli oswobodzić, albo niech który z was stara się wraz z nim tam dostać, przeciąć jego więzy poczem spuszcza się obadwaj do łodzi: główna rzecz porozumieć się teraz z panem Wiliamem!

— Ciekawa rzecz byłaby porachować ile ten człowiek mil angielskich oczywicie, przebieży dzisiejszej nocy — rzekł kapitan Lory, patrząc za znikającym Wilkiem. — A teraz wchodźmy do łodzi i śpieszmy na pomoc pierwszej.

— Kapitanie — błagalnie szepnął Jerzy — jestem gimnastyk pierwszego rzędu, wdrę się na okręt lepiej niż nie-jeden majtek, a zaręczam ci że z zawiązanemi oczyma i po nocy, poznam mego brata wśród tłumu i odnajdę wśród za-łuków i rupieci okrętowego pokładu, weź mię z sobą!

Kapitan Lory się zawahał i spojrzał na pana Thorna:

— Niech idzie!... i serce ma swój rozum i siłę swoją — szepnął tenże.

— Strzeż się pan!... nie narażaj dwóch!... — odparł surowo Lory. Thorn odwrócił się załamując ręce, ale nie rzekł nic więcej. Jerzy wskoczył do łodzi z kapitanem i kilku majtkami i odплыł wolno, cicho, ostrożnie, prawie bez żadnego szelestu, bo szum morski głuszył ostrożne poruszenia wiosel. Zabrawszy po drodze pierwszą łódź i dowiedziawszy się od niej, że na Sumatrze panuje nieprzerwana cisza, podpłynęli pod sam okręt, ciężką, dużą budowę pogrążoną w zupełnych ciemnościach, bo przez ostrożność handlarz nie pozapalał tam nawet zwykłych nocnych świateł. Tylko z głębi zatoki od strony lądu, gdzie ucztowano, z poza Sumatry błyskały ognisk odbłaski pogrążając przeciwną stronę ciężkiego statku w tem większych jeszcze cieniach.

— Kapitanie! wejdę i ukryję się zawczasu, a wtedy naj-latwiej mi będzie korzystać z chwili gdy nadejdzie Wiliam — szepnął Jerzy, wskazując łańcuch ogromny zwieszony z boku i mnóstwo rzeźbionych w drzewie potworów, smoków, krokodyli, pawi, jakimi Chińczyk, handlarz jakoby drobiu, uważał za stosowne ozdobić tanio nabytą rudę, o której bezpieczeństwie i bezkarności stanowić miała i stanowiła jęj naiwna, nie-winna bezbronność.

— Czyliż zdołasz?... a broń nabitą, nóż ostry do przecięcia więzów Wiliama, maszże?... — zapytał Lory, z wątpiewaniem spoglądając w górę, na bądźco bądź ogromny statek. Ale Jerzy, cicho i zręcznie jak kot już wdierał się pod górę, chwytając rękoma za łańcuch tak olbrzymi i tak wyprężony, że ani zadzwieczał pod lekkim ciężarem smukłego chłopca, laureata na wszystkich gimnastycznych popisach w pierwszorzędnym szkole angielskich; nogami zaś wspierając się na tych właśnie rzeźbach cudacznych, ozdabiających statek. Przy tej ostatniej pomocy, zadanie było bardzo łatwym w istocie, dla wprawnego gimnastyka. W kilka sekund, bez szelestu Jerzy zrównał się głową z parapetem; ludziom patrzącym z dwóch łodzi obawa zaparła oddech w piersiach, bo na dwudziestu, siedemnastoletnich chłopców w takim położeniu, z pewnością dziesiętnastu w tej chwili jednym skokiem siadłoby konno na parapecie, zyskując w ten sposób chwilowy odpoczynek po trudnej przeprawie, i zgubę niechybną, gdyż trzeba by zupełnie już śpiącej załogi, aby cień tak siedzącego człowieka, mimo nocy nie zwrócił uwagi. To też gdy Jerzy dosięgnąwszy głową parapetu stanął nieruchomy, utrzymując się w tej pozycji blisko przez całą minutę, wsparty jakimś cudem ekwilibrystyki na łańcuchu i rzeźbach i rozpatrując się uważnie we wnętrzu Sumatry, wtedy odetchnęli na łodziach i cicho jak powiew zefiru szepnięto:

— Da sobie radę, patrzajcie!...

Istotnie, było na co patrzeć. Jerzy rozpatrzywszy się dokładnie i widząc zapewne że nie ma niebezpieczeństwa bezpośredniego na pomoście, chwycił się rękami za parapet i siłą rąk unosząc resztę ciała, przesadził się prawie niewidzialnie w jednej chwili, nie konno wcale ani na jedno mgnienie oka, lecz w położeniu horyzontalnym... Wobec takiego zrozumienia okoliczności i takiej gimnastycznej wprawy, wszyscy zamilkli z uwielbienia.

(d. c. n.)

SZARADA.

Przyimek i zaimek; trzecie, czwarte: zwierzę,
Złożą to, co istnieje tylko na papierze.
Prawdziwych bowiem w życiu, nie znajdziemy prawie,
Chociaż wielu tem mianem darzymy łaskawie.

Zagadka kwadracikowa.

A	1
B	2
C	3
D	4
E	5
F	6
G	7

W 7-miu rzędach oznaczonych literami A, B, C, D, E, F, G, ułożyć w każdym po wyrazie 7-io zgłoskowym, w których by litery wskazane przez cyfry od 1 — 7 włącznie, składały nazwę pseudonimu jednej z pisarek polskich. Sylaby: gosz—pe—Pe—da—ma—E—la—Dłu—li—A—te—Gos—kan—For—na—ca—zy—ba—Gra—pe—po—ja. Znaczenie

wyrazów: 1. Historyk polski z XV-go wieku. 2. Ptak z rodziny wioślarzy. 3. Nazwa poematu bohaterskiego. 4. Zamek obronny. 5. Utwór Mickiewicza. 6. Stan niewolniczy nad zatoką meksykańską. 7. Dom zajezdny.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Homonimu szaradowego:

Soliter.

Kryptogramu:

F l i s M a r t a
N o s k O w s k i
A i d a N o r m a
K u r p I ń s k i
M O N I U S Z K O
G r o s S m a n n
D o n i Z e t t i
A f r y K a n k a
C z a r O m y s ł

METODYCZNY KURS NAUK

obejmujący: naukę religii, naukę o rzeczach, język polski i francuzki, arytmetykę, nauki przyrodnicze, geografję, historyję, kalfografję i rysunki — wychodzić zaczął w „Przeglądzie Pedagogicznym” od 1-go paźdz. r. b. W „kursie” tym podany jest plan całej nauki, najlepsze podręczniki do każdego z przedmiotów i wskazówki, czego i jak z podręczników tych uczyć należy. „Przegląd Pedag.” zamieszcza artykuły o higienie, wychowaniu i metodach nauczania, postępach pedagogiki zagranicą, grach i zajęciach dla dzieci itd. Udziela porady we wszelkich kwestyach wychowawczych. Pośredniczy między rodzicami i nauczycielami przez bezpłatne zamieszczanie żądań. Prenumerata „Przeglądu”: kwartalnie rs. 1. kop. 50. z przesyłką rs. 1. kop. 75. — Adres Redakcyi: Warszawa, Widok Nr. 14.

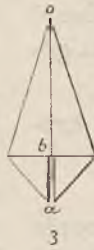
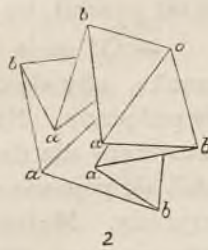
PIERWSZA KSIĄŻECZKA DO CZYTANIA

H. WERNICA.

Wyszła z druku, nadająca się znakomicie do nauki prywatnej i w szkołkach początkowych, cena kop. 25.

Poszukuje się panienki do wspólnej nauki na prowincyą i w mieście. Wiadomość bliższa w Redakcyi.

TRESC: Złudzenie optyczne (z drzew.) — W złotej klatce, opowiadanie z prawdziwego zdarzenia. — Gibraltar (z drzew.) — Jesień, wiersz (drzew.) — Powódź p. Helenę Tokarzewską. — W Indyach. — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek: Żaba papierowa (z drzew.) — Dziwne deszcze p. Helenę Bojarską. — Opowiadanie motylka, powiastka podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina. — Zagadnienie. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).



Żaba papierowa.

Wziąć trzeba większy, kawałek papieru najcieńszy i nie glansowany, jako mocniejszy. Dla ułatwienia roboty, potrzeba koniecznie oznaczyć we właściwych miejscach litery, po obu stronach kwadratu załączonego, jak to wskazuje *fig. 1*.

Poczem, delikatnie jedną ręką ujawnszy punkt *O*, drugą załamywać papier, jak wskazuje *fig. 2*.

Otrzymałszy ją, wykonywać *fig. 3*, przykładając linie proste *b, o*, do przekątnej *a, o*, co wymaga pewnej zręczności palców.

Jeszcze większej zręczności wymaga *fig. 4*, zasadzając się na odwróceniu punktu *b* w kierunku *o* i załamaniu w sposób wskazany przez *fig. 5*, powstających wtedy linii *s, a*. Powtórzywszy tę operację razy 4, załamać należy do środka punktu *s*, będzie to już *fig. 6*, poczem wykończenie żaby, jak wskazuje *fig. 7*, będzie rzeczą łatwą.

W miejscu gdzie się cztery linie *a* rozchodzą, pozostawić mały otworek, przez który wsunąć można trochę waty i drucikową szpileczkę. Końce jej nakierować trzeba tak, aby dotykały załomu łapek tylnych. Dmucha-jąc na tak urządzoną żabę, przekonamy się, że doskonale podskakuje.

Najlepiej wykonać ją z bibułki, która choć wiotka, ale tylokrotnie złożona, nada łapkom potrzebną sprężystość.

DZIWNE DESZCZE.

— Zosiu, Zosiu — zawołał Adaś, wbiegając do pokoju, w którym siedziała jego siostrzyczka, zajęta robotką przy boku matki — czyś ty słyszała kiedy o krwawym deszczu?

— Co? o krwawym deszczu? — odrzekła dziewczynka — alboż to bywają jakie krwawe deszcze?

— Widać że bywają, skoro o nich w poważnych książkach piszą, właśnie w tej chwili o tem czytałem.

— Czyż to, krople krwi spadają na ziemię? — pytała zaciekawiona Zosia.

— Pewnie, skoro ten deszcz krwawym się nazywa.

— I zkad ta krew bierze się tam w górze?

— Zkad?... albo ja wiem, dość że się bierze, ty bo zaraz jesteś zanadto ciekawą: A zkad? A na co? A poco?

— To właśnie bardzo dobrze, mój synku — odparła mama — że Zosia myśli i zastanawia się nad wszystkim, tym tylko sposobem może coś dobrze pojąć i zrozumieć. Ciekawość w tym razie jest bardzo chwalebna.

— Bardzo to pięknie, ale jakże jej mogą odpowiedzieć na to, czego sam nie wiem!

— Tak, ale jeśli byś był tak jak i ona zastanawiającym się i pragnącym lepiej rzecz poznać, to tak na te pytania, jak i na wiele innych znalazłbyś odpowiedź dla młodszej siostrzyczki. Sądę też że i o krwawym deszczu mógłbyś jej dać pewne objaśnienie.

— Moja mateczko, tam w książce nic więcej nie było, jak tylko że tu i tu w tym i w tym czasie spadł krwawy deszcz.

— I nie zaciekało cię to?

— Owszem, ale cóż miałem zrobić, aby się dowiedzieć?

— Udać się do kogoś ze starszych i zapytać o to.

— Przecież i starsi nie mogą zawsze o wszystkim wiedzieć.

— W każdym razie posiadają wiadomości więcej od ciebie, moje dziecię, a gdyby, jak przypuszczasz, nie wiedzieli czegoś, to z pewnością postaraliby się objaśnić cię, czy to przy pomocy książek, czy zwracając się z tem do osób, które łatwiej i dokładniej wytłómaczyłyby rzecz niezrozumiałą.

— Więc o krwawym deszczu możnaby się czegoś dowiedzieć? — zapytała Zosia.

— Naturalnie, sama wam nawet opowiem nietylko o tem, ale i o innych dziwnych deszczach.

— A czyż są jeszcze inne dziwne deszcze?

— Są, moja duszko, deszcze ryb, żab, siarczane, a starożytni wspominali jeszcze i o wielu innych.

— Czyż to być może? — zawołała zadziwiona Zosia — ale wracając do deszczu krwawego, jak się on tworzy? z czego powstaje? czyż tam bój jaki odbywa się na górze? Kąd ta krew?

— To nie jest krew, a tylko nazwyczajniejsze krople deszczu zabarwione na kolor czerwony.

Zabarwione?... nie rozumiem tego, mateczko.

— Widzisz, uczeni rozpatrywali ten deszcz, krople jego poddawali rozbiorowi chemicznemu i przekonali się, że oto pierwiastki mineralne są przyczyną tego zjawiska.

— Jakże to być może?

— Zrozumieć łatwo: obłoki, z których miał powstać deszcz spotkały się w górnych warstwach atmosfery z silnym wiatrem, unoszącym pył z ziemi zawierającej w sobie mieszaninę żelaza, miki i feldspatu; mieszanina ta zabarwiła tam w górze krople deszczu, ot! i rzecz cała wyjaśniona.

— To pewnie deszcz żab i rybek, powstaje w podobny sposób? — zapytały znów dzieci.

— Istotnie, i tu wiatry odgrywają główną rolę: trąby powietrzne, tak zwane cyklony, szaleją niekiedy ponad jeziorami, bagnami i mokreml łakami, wzburzają wodę, która wyrzuca na powierzchnię ryby i żaby i te siłą wiatru unoszone bywają w górę, a po pewnym czasie spadają znów na ziemię gdy ta siła słabnąć pocznie. W Europie zjawisko to jest bardzo rzadkiem, ale w krajach podzwrotnikowych przytrafia się częściej. Do mniej rzadkich należą deszcze pyłu i piasku, które przed swem spadnięciem odbywały dalekie podróże. Naprzykład w południowych Włoszech i w Sycyli spadają niekiedy deszcze piaszczyste, przynosząc tu pył aż z pustyni Sahary w Afryce.

— No, no, to o tem to nigdy jeszcze nie słyszałem — powiedział Adaś — a to jest dość ciekawe. Takie deszcze to doprawdy osobiliwość.

— W krajach podzwrotnikowych bywają nieraz tak silne trąby powietrzne — mówiła dalej mama — iż wyrzucają z ziemi całe drzewa i unoszą je daleko, z tem większą więc łatwością żabki i ryby mogą być w górę uniesione. A są także i deszcze siarki...

— Tak, tak, wspomniała już mateczka o tem — odezwiała się Zosia.

— Wspominałam, ale nie wytłómaczyłam wam ich tworzenia się, niewiele wprowadzę mam o tem do powiedzenia, gdyż zjawisko to zupełnie podobne jest do poprzednich.

— Czy to siarka spada z góry? — wtrącił Adaś.

— To co biorą za siarkę, nie jest nią właściwie, jest to poprostu pyłek różnych roślin a przedewszystkiem sosny.

— Więc może i teraz padają jeszcze gdzie takie deszcze? — zapytała Zosia.

— Mówiłam wam, że się to zdarza bardzo rzadko, jednakże przed niedawnym czasem, kilka tygodni temu, spadł deszcz żab podczas silnej burzy w Neuilly-Plaisance pod Paryżem.

— Pod Paryżem? Pod Paryżem?! — dziwiły się dzieci.

— Ach! jak to dobrze że wiem o tem — rzekł Adaś — zaraz się pochwalę przed mymi kolegami; oho! będę się też pysznił, bo oni pewnie o tem nie wiedzą.

— O! moje dziecko, nie na to zdobywamy wiedzę i naukę, aby się chwalić i pysznić, byłby to cel wcale nie pożądaný. Nauka umysł nasz zadawalnia i niejako pokarmem dla ducha być powinna. Jakże to jest miło, jeżeli się pojmuje różne zjawiska i umie badać tajemnice przyrody. Można też a nawet trzeba nauczyć innych tego, co sami wiemy i rozumiemy, nie dlatego jednak, aby się pochwalić i swą wyższość okazać, ale aby i oni doznali równej nam przyjemności i wspólnie z nami zastanawiali się nad dziełami Tego, który rządzi i kieruje tem obszernem państwem, które się „światem” zowie.

Helena Bojarska.

OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiaſtka podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina.

(Dalszy ciąg).

Pewnego dnia udały się po radę do jakiejś dużej ksiąŹki.

— Trzeba zobaczyć jaki z téj liszki będzie motyl, to się dowiemy czem się żywi — zawyrokowała najstarsza panienka.

— W téj ksiąŹce było dużo rycin wyobraŹających piękne motyle, a ja przypatrywałem się im ciekawie, starając się odgadnąć jakim zostanę w przyszłości, gdyż wychodząc z zasady, że nie należy nigdy wątpić o tem czego się nie pojmuje, uwierzyłem nareszcie, że nie zawsze pozostanę liszką.

— Przepraszam że przerwę — zawołała szczypawka — ale czy w téj ksiąŹce nie zauważyłeś czasem motylku, wizerunków szczypawek?

Motylek zdawał się trochę zmieszany i nie odpowiedział zaraz na pytanie.

— Wiesz przyjaciółko — rzekł wreszcie po chwilo-wym namysle — jak bardzo szanuję szlachetny twój ród, ale zawsze zdaje mi się, że w oczach ludzi nie masz tego znaczenia co piękne motylki.

— Doprawdy! — przerwała oburzona — wiesz mój kochany, stałeś się tak zarozumiałym, że niepodobna z tobą żyć w zgodzie. Cóż to ty lepszego odemnie?

— Droga przyjaciółko — tłumaczył się motyl — nie potrzebuję ci chyba powtarzać, jak cię cenię i ile dbam o twoją życzliwość, ale żadne względy nie skłonią mię do mijania się z prawdą, w ksiąŹce téj nie widziałem szczypawek.

— Nie widziałeś!... to jeszcze niczego nie dowodzi, że ty nie widziałeś... mogły być swoją drogą. Zapytam o to rozumniejszych!

— I owszem; z przyjemnością zgodzę się na sąd polubowny — rzekł motylek z grzecznością dobrze wychowanego owadu.

Szczypawka zamyśliła się głęboko.

— Nie wiem kogo o zdanie zapytać? — mówiła — namysłem — zdaje się niby, że ogród jest zaludniony, a jak przyjdzie wybierać, kłopot prawdziwy. Osa złośliwa, konik polny trzpiot i pustak, bąk zawadyaka, mrówka nudziarka wiecznie zajęta, a nieuczynna dla drugich, o muchach i wspominać nie warto... Kogoż wybrać? Ot, chyba nie szukając dalej zwróćmy się do pszczoły, która właśnie zmierza w naszą stronę.

— Nie wiem czy zechce odpowiedzieć — zauważył motylek nieśmiało, przypominając sobie liczne morały odbierane od téj czynnej istoty, która cierpieć nie mogła lekkomyślnego wietrznika, jak go nazywała.

— Cóż robić — odparła szczypawka — wiem że ta szanowna osoba nie należy do zbyt uprzejmych, ale słyszę, że coś sobie wyśpiewuje, widać w dobrem dziś usposobieniu, korzystajmy więc z niego.

W téj chwili pilna pracownica obciążona bogatym plonem, wesoło brzęcząc wracała do swego mieszkania, gdy zatrzymało ją wołanie szczypawki:

— Pani pszczołko, proszę zaczekać chwilkę.

— No, cóż tam? — odparła niezadowolona, że ją nudzą, zatrzymując się na łądzyce słonecznika.

— Powstał tu spór między mną, a przyjacielem moim motylkiem, znając więc doświadczenie i głęboki rozum szanownej pani, postanowiliśmy obrać ją sobie za rozjemcę w téj sprawie.

— Dobrze, dobrze, mówcie już tylko prędko, bo ja nie mam czasu na próżne gadaniny.

— Nie mogłaby nas też pani objaśnić, czy ludzie w książkach piszą tylko o motylach, czy także o szczypawkach?

Pszczoła zaśmiała się niemiłym, szyderczym śmiechem.

— Próżniaki, darmozjady! — zawołała — nic nie robią, toż im niemądre pomysły przychodzą, nic dziwnego! Ale co wam się zdaje, nierozsądni, mieliby też ludzie kim się zajmować! to tylko o mnie piszą całe, wielkie książki. — To mówiąc z dumą spojrzała na naszych przyjaciół i szybko pofrunęła w swoją stronę.

— Niesmaczna i zarozumiała! Cóż za niemiłe stworzenie! — zawołała szczypawka z gniewem.

— Ostrzegałem cię — rzekł motylek — znam ją dobrze, nudne to i nieuczynne, staram się też zawsze być od niej zdaleka. Ale w takim razie — dodał — spór nasz nie został rozstrzygniętym.

— Mniejsza o to, opowiadaj dalej przyjacielu, bo już słońce skłania się ku zachodowi — powiedziała pocziwa szczypawka, która należała do istot łatwych do gniewu, ale jeszcze łatwiejszych do zgody i nie miała już urazy do motylka za jego zarozumiałość.

(d. n.)

ZAGADNIENIE.

Ojciec Buni odjechał, zostawiając ją malutką, a gdy wrócił miała już lat czternaście. Przez ten czas posiłkowała od trosk i tęsknoty, zgarbił się od przygnębienia, pierś mu zapadła od choroby wywołanej przez surowy klimat. Dzień jego powrotu był najszcześniejszym w życiu Buni.

Wybuchy wesela przeplatały się łzami rozczulenia: żyli wyłącznie radością odzyskania ojca. Wszelkie usiłowania zwrócone były ku sprawieniu mu przyjemności, ku wywołaniu miłych wrażeń, zacierających ból i gorycz, co przez tyle czasu poili jego duszę. Dzieci nie odstępowały go, prześcigając się w usługiwaniu mu, słuchając opowiadań, starając się zasłużyć na pieszczoty.

Nazajutrz zaczęła dręczyć Bunię myśl: — Jakież też tatko przywiózł podarki? A może żadnych?

Gnana ciekawością pobiegła do pokoju ojca. Nie było tu nikogo: Rozejrzała się swobodnie. Na środku stał otwarty tłumok a wszędzie pełno było porozrzucanych rzeczy. Nagle uwagę jej ściągnęło na siebie pudełko stojące na skraju komody.

Podbiegła, podniosła je i... osłupiała z przestachu, upuściła je. Było puste, przewrócone dnem do góry, a pod niem siedziała żaba. Ta, wdzięczna Buni za oswo-bodzenie z ciemnicy, skoczyła wprost przed siebie, z komody na posadzkę i zaczęła łązić, szukając drogi do ucieczki.

Bunia pół martwa z przestachu stała nieruchoma. Ona tak bała się żaby, że nie wstąpiła na trawnik, by nie nadeptać tego obrzydliwego stworzenia, tylko ostrożnie chodziła po drózkach, wypatrując ich uważnie, a gdy szła do kąpieli przez łąkę ku rzece, braci i siostry puszczała naprzód, by wystraszyli żaby z drogi, kędy przejść miała. Z uczuciem obrzydzenia łączyło się niezadowolenie ze złego postępku, strach nadejścia ojca i obawa zasmucenia go.

Wtem dały się słyszeć głosy dzieci i poważne kroki. Zbliźali się. Bunia zadrżała, pytając siebie, jak oszczędzić ojcu przykrości.

Jakże mili czytelnicy postąpilibyście w podobnym wypadku?

S Z A R A D A.

Wprost pierwsze, a wspaniałe drugie, wśród liter znajdziecie, Częścią mowy, przymkiem zwaną, będzie trzecie; Wszystko, imię kobiety dosyć znane w świecie.

Łamigłówka kryształowa.

1. Spółgłoska.
2. Miara.
3. Gatunek drzewa.
4.
5. Narzędzie stolarskie.
6. Ryba.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery powinny utworzyć nazwę broni, używanej przez wojsko.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Z a g a d k i:

Należy usunąć ściany oznaczone numerami 2, 11 i 14.

Zagadki rebusowej:

Z A - pałki. Zapałki.

Skrzynka do listów.

Nie wątpisz chyba, **Niezapominajko z nad Warty**, że z chęcią zawsze zadość czynimy żądaniom miłych naszych czytelników. Numer kosztuje kop. 10. Mamy już list od Gołąbki i niedługo drukować go będziemy; tymczasem zaś na wszystkie do niej listki choć słówkiem odpowiadamy w jej imieniu, a listki chowamy, aby się niemi ucieszyła za powrotem.

Horpyno droga, nie znaleźliśmy w słowach twoich nic, coby było „bez sensu” a dołączony pakiecik jest dowodem, że i w serduszu wszystko w porządku.

Mięta z nad Doru jest w tym samym szczęśliwym położeniu: „chodzi jej o to, aby skromny datek dołączyć do darów dla biednych dzieci”. Wiemy dobrze, dzieci drogie, że żadnej z was nie chodzi o nagrodę, nam jednak serdeczną sprawia to radość, gdy możemy nagrodzić pocziwe wasze usiłowania, dowodzące że w dzieciennym już wieku poczuwacie się do obowiązku czynienia dobrze.

Kopciuszku, postaramy się by się z tobą obejść, nie jak z Kopciuszkim, lecz jak z Benjaminskim, ale nie posądzaj nas że „zarzucamy” listki.

Tego samego niech także pewnym będzie **Stan: Radz**: którego listki wzięliśmy pod opiekę.

Kulko śniegowa, wszyscy o mało nie stopnieliśmy podczas straszliwych upałów tegorocznych; żyjemy jednak, pozdrawiamy cię serdecznie; wyrażamy całe nasze współczucie dla choroby, która ci przeszkodziła używać wakacji, słusznie należnych uczennicy tak miłującej naukę. Pilne spełnianie *najbliższych* obowiązków jest najprostszą drogą do celu, który osiągnąć pragniesz...

Góralce posłałimy żądane numera. Mama wielką miała słusność, że cały dzień kazała siedzieć na świeżym górskim powietrzu, w którym się nabiera sił i rumieńców na cały rok nauki.

Goryczko droga, robótka przyszła w porę. Oby na twojej bladej buzi jak najczęściej zakwitwały rumieńce wywołane radością ze spełnienia dobrego uczynku.

Słowo od **Wiochny z pod Lublina** zawsze mile jest witane w Redakcyi, ale czemu to pracowite siostrzyczki nie napisały same?

Świątełko roztropnym jest wcale ognikiem, który niedługo otrzyma odpowiedź na wszystkie zapytania i wątpliwości, wyrażone przez tak wiele czytelników naszych, że rozstrzyga je i wyjaśnia sama autorka.

I fartuszek z chusteczką przyda się, **Pocieszko Rodziców**, biedactwom tym które tego nie mają, a ćwierć nawet chusteczki chętnie obrąbiona i ofiarowana szczerem sercem, już ci zasługę skarbi u Tego, który wdowim *grośkiem* nie pogardził...

Dlatego też bądź spokojna, **Miła Laszko malutka**, nie „osądzimy surowo” twój pracy, ale mamy ochotę uściśkać cię za nią.

Kochane moje: Jesieni, Cicha Wodo, Wróżbiarko szczęścia, Sarenko z nad Morocz, Królowo Wrózek i Wierzbo ze Żmudzi! Przyjm uściśnienia miła Jesieni, ucieszyło mnie bardzo twoje pozdrowienie, oddawna bowiem z tobą listowną znajomość zawrzeć pragnęłam. Cicha Wodo czy usposobienie twoje zgodne jest z pseudonymem? Wróżbiarko szczęścia milutkie twe odezwy, dały mi wielką chętkę uściśnąć cię choć listownie, czy już należysz do poważnego naszego grona staruszek? Królowo Wrózek, często myślę o tobie, i modlę się za zdrowie twojej babci, ucałuj odemnie Laureatkę i Gwiazdę. Czemuś się tak długo do mnie nie odzywała. Sarenko z nad Morocz? Serdecznym uściśnieniem przypominam się znowu twój pamięci. Wierzbo ze Żmudzi, odezwa twoja, zachęca mnie, do napisania ci kilku słówek, z chęcią z tobą korespondować będę, tylko z powodu braku miejsca, listki nieraz długo czekać muszą. Ściskam was wszystkie, *Czeska Niezobudka*.

Poranku majowy! kocham cię serdecznie. Odkąd pierwszy raz napisałaś do W. R. ogromnie cię polubiłam, boś mi przypomniała mój pierwszy wiersz p. t. „Poranek majowy”, sympatya moja się zwiększyła, gdyś pierwsza się odezwała. Z największą

chęcią będę z tobą korespondowała. Gdzie mieszkasz Poranku? Ile masz lat? Czy chodzisz do szkoły, czy też uczysz się w domu? Ja mieszkam w Krakowie, mam lat 13, i chodzę na pensję, właśnie skończyłam VI klasę, z nauk najbardziej lubię religiję, literaturę historyę i geografję. Twoja *Gama C-dur*.

Kochany Poranku majowy! Z największą chęcią będę do ciebie pisywać, gdyż bardzo cię pokochałam. Jestem na pensyi od roku zeszłego. Donieś mi co więcej o sobie, a ucieszysz tem bardzo twą *Filaretkę*.

Czarnooka droga! Pomimo iż nie miałam odezwy od ciebie, po ostatnim moim listku, piszę jednakże, donosząc ci, iż przerzucając skrzynkę dawniejszych numerów dowiedziałam się że Horpyna ta domysłna osóbką, jest twoją siostrzyczką; przesyłam jej serdecznego buziaka, a w zamian chciałabym dowiedzieć się od niej kto jest, kochana, lecz tajemnicza „Gołąbka”. Zauważyłam także że wiesz mój wiek i jak wyglądam, lecz nie wymieniałam ci miejsca mego pobytu. Oto zamieszkuje jedną z mniejszych dzielnic naszego kraju, w W. Ks. Poznańskim, kocham ją jednakże bardzo, również jak i rodzinną wioskę, bo któżby nie kochał swęj ziemi!... Pragnieniem mojem było zawsze zwiedzić Ukrainę, Podole i Litwę, którą to tylko znam z opowiadania i z czytania, donieś mi więc proszę coś o twych stronach; czy użyłaś wakacji? Czy tak jak mnie „Pod wpływem błogosławieństwa” podobala ci się najwięcej? Przyjmij szczere uściśnienia od twój *Galęzki Paproci*.

Przebac mi droga Dzieweczko litewska, że teraz dopiero odpisuję na twój śliczny listek, za który dziękuję serdecznie. Nie mieszkam w Rydze, ale na wsi, w gub. Witebskiej. Zdaje mi się że jesteś nową korespondentką Wieczorów, twój pseudonym podobna mi się bardzo. Pozdrawiam twoje siostry: Gosposię białodolińską i Żywe srebro. A jak na imię twojej najstarszej siostrze? Moja nauczycielka, p. Marya, pyta się, czy jesteś jak ona Litwinka, i kłaniać ci się każe. Odpisz prędko, twojej, kochającej cię, *Wiewióreczce Infantyńskiej*.

Droga Kukułko z pod Lublina! Niezmiernie się ucieszyłam, odebrawszy twój listek. Dowiesz się o mnie dalszych szczegółów w numerze 11. Ja mam lat 15, jestem jedynaczką i mieszkam także na wsi; nazwisko moje zaczyna się od litery H. Kończę listek ucałowaniem cię serdecznie, bo dłuższych korespondencyi Wieczory R. nie pozwalają. Twoja *Kukułeczka*.

Kochane: Wesola Krakowianko i Serdeczna Dziewczynko! Donieście mi czy wasze siostry pisują do Wieczorów i pod jakimi pseudonymami? Dziękuję ci Serdeczna Dziewczynko za tak miłą odpowiedź, widzę, że bardzo stosownie obrałaś sobie pseudonym. Gdzie przepędziłyście wakacje? ja w domu. Załączam wam serdeczne uściśnienia, prosząc o odpowiedź. Kochająca was *Niezapominajka z nad Warty*

Nikt mi jeszcze nie odpisał na moje listy, drukowane w naszych kochanych „W. R.”, zwracam się więc do ciebie Jaskółko z nad Sekwany. Mam 13 lat i nazywam się Felicja M. Może ty zechcesz mi odpisać, czekać będę na odpowiedź. *Tęsknota za Wisłą*.

Przebaczenie mi najdroższe siostrzyczki: Trawko z nad Fryby i Cicha Wodo, że teraz dopiero na listki wasze odpowiadam, nie mogłam uczynić tego wcześniej z powodu egzaminów. Tyś najdłużej na odpowiedź czekała, Trawko z nad Fryby, ale bo też i pierwsza napisałaś do mnie. O nie zawiedziesz się na mnie Cicha Wodo! niewypowiedzianą przyjemność zrobił mi twój listek, taki miły i serdeczny. Chciałabym jednak bliżej poznać tę, którą już pokochałam, donieś mi więc proszę jak się nazywasz, ile masz lat, czy uczysz się w domu? Prosi o odpowiedź wasza *Jemiołuszka*.

NA KOLONJE LETNIE ZŁOŻYLI:

Niezabudka z nad Chomoru rs. 2. — Kuropatwa z nad Iko-petiu kop. 50. — Mazur z nad Dunaju złr. 1.

Dla najbiedniejszych: Stanisław z Koziatyn rs. 10.

Dla biednych dzieci: Mania i Brońcia rs. 2.